



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.



POGADANKA NAUKOWA.

GLIN.

— Witam miłych gości! — zawołał pan Witold, gdy Kazio i Helenka odwiedzili profesora, po raz pierwszy po wakacjach.

— Witamy! Witamy pana profesora.

— Czy pamięta pani, panuo Heleno, o czym mówiliśmy ostatnim razem.

— Pamiętam, zapoznał nas pan profesor z krzemem.

— Dzisiaj zaś zajmijmy się metalem glinem.

— Zauważyłem już na stole kawałek gliny — odezwał się Kazio.

— Tak, jest to bardzo zwyczajna glina żółta, jakkolwiek są i odmiennie zabarwione szare, niebieskawe, czerwone, wreszcie białe. Białej gliny czyli kaolinu używamy do wyrobu porcelany. Otóż w każdej glinie znajdujemy kilka pierwiastków, między którymi glin pierwsze trzyma miejsce; obok niego widzimy krzem, trochę żelaza, wapnia, potasu. Kaolin zaś zawiera jedynie krzemian glinu z dodatkiem tlenu i wodoru.

Znacie dobrze wszelkie wyroby z gliny, jako to cegły lub

garnki, miski, talerze, filiżanki, posążki różnej wartości, stosownie do gatunku materiału z którego je wyrobiono. Zwróćmy najpierw uwagę na najzwyklejszy użytek z gliny, na garnki i miski. Garncarstwo znano już w przedhistorycznych wiekach, że jednak glina jest porowatą, to też naczynia gliniane nie przepuszczały wody, pokrywamy je zwykle polewą. Polewa składa się z różnych pierwiastków; zwykle garnki zanurzają się przed wypalaniem w gęstym roztworze soli morskiej; fajansowe zaś naczynia polewają mieszaniną złożoną z kredy, krzemianu sody, kryształu górnego i boksytu. Niesumienni przemysłowcy dają czasem polewę z ołowiu, którą kwaśne potrawy z wolna rozpuszczają, wciągają niejako w siebie, co znów szkodliwie wpływa na zdrowie konsumentów, bo ołów trująco działa na nasz organizm. Są też polewy zabarwione na czarno np. za dodaniem metalu uranu, na czerwono za pomocą żelaza, na niebiesko za pomocą kobaltu i t. d.

Jeżeli weźmiemy do ręki jakiegokolwiek fajansowe lub porcelanowe naczynie, dajmy na to, ten talerzyk, który biorę w rękę i przyjrzymy mu się dokładnie, dojrzymy na odwrotnej stronie, krążek chropowaty, ciemniejszy od całości; ządże to pochodzi? Oto po zanurzeniu talerza w polewie, wsta-

wiamy go do pieca z glinianymi półkami, a ten krążek oznacza właśnie miejsce zetknięcia się talerza z półeczką, do którego polewa nie dochodzi. Lecz przejdźmy teraz do właściwego glinu. Znajdujemy go nie tylko w glinie ale i w feldspatach, granitach wreszcie w postaci kryształów różnie zabarwionych; panna Helena zna zapewne wschodnie ametysty, topazy, szafiry i szmaragdy, te piękne kamienie są prosto krzemianami glinu, z różnemi drobnemi domieszkami.

— Co to jest feldspat panie profesorze? — zagadnęła Helenka.

— Feldspatem nazywamy połączenie chemiczne krzemu glinu i potasu, w granicie zaś znajdujemy mieszaninę feldspatu, miki i kryształu górnego. We wszystkich tych ciałach jednak glin znajduje się zawsze w połączeniu bądź to z krzemem, bądź to z tlenem, lub wodorem. Dopiero w r. 1856 jednemu z francuskich chemików, sławnemu St. Clair Deville udało się otrzymać glin czysty. Proszę cię, Kaziu, weź w rękę tę blaszkę — dodał pan Witold, podając mu podługowaty kawałek metalu.

— Jakież to lekkie! — zauważył Kazio.

— Nieprawdaż? Proszę spróbować — dodał pan Witold podając metal uczniu.

— Cóż to jest? — spytała Helenka.

— Jest to właśnie czysty metal glin, cztery razy od srebra lżejszy. Ma on przytem wiele przymiotów, które go wyżej od srebra stawiać każą, np. srebro czernieje na powietrzu, glin zaś zachowuje swoją czystość, czyli, że powietrze nie działa nań chemicznie, posiada przytem rozciągliwość i wytrzymałość w wysokim stopniu. To też obecnie gdy wynaleziono kilka tanich sposobów otrzymywania czystego glinu, metal ów coraz więcej wchodzi w użycie. Wyrabiają z niego oprawy lunet, lornetek teatralnych, mnóstwo klejnotów, papierońnice i t. p. Kolorem jak widzicie bardzo przypomina srebro; w ogóle kwasy nie działają na glin, z wyjątkiem kwasu solnego.

— A z czego składa się kwas solny? — zapytała Helenka.

— Z chloru i z wodoru — odparł pan Witold. — Glin czysty topi się dopiero przy temperaturze 700° C. Istnieje też pewien związek tlenu z domieszką glinu w postaci białego proszku, który stopić można dopiero przy daleko wyższej temperaturze, a takie samo połączenie glinu z tlenem daje nam znowu owe różnokolorowe piękne kamienie, o których już dzisiaj wspominałem. Przypomnijcie sobie różne postacie siarki, o której mówiliśmy w przeszłym roku, a nie zdziwi was odmienny kształt jednego i tego samego związku glinu z tlenem. Nie należy jednak tego ostatniego zjawiska podciągać pod nazwę allotropii, gdyż chrzcimy nią tylko różną postać krystaliczną lub bryłową czystych pierwiastków, nie zaś ich związków.

Tu pan Witold wydobyl z szafki słoik białego proszku i maleńkie szklane pudeleczko, w którym spoczywał fiołkowy ametyst.

— Oto są dwie postacie tlenniku glinu — objaśnił — tu znów, przyczem wskazał na miseczkę, napelnioną jakąś gęstą, białą galarete, mamy glin w połączeniu z tlenem i wodorem. Prawda, że trudno domyśleć się w tych tak różnych dla oka ciałach istnienia tego pięknego, połyskliwego metalu, z którego blaszkę obok kładę?

— Bezwątpienia — zawołała Helenka — tę galarete nazwałabym krochmałem.

— Glin znajduje przytem szerokie zastosowanie w chemicznym związku dobrze wam pewnie znanym pod nazwą ałunu — mówił po chwili pan Witold.

— Ałun nieraz widziałam — odezwał się Kazio — mama wysypuje zawsze trochę ałunu do wody, gdy jest mętną.

— Otóż składa się on z glinu, tlenu, wodoru, z siarki i potasu, w języku chemicznym zwiemy go podwójnym siarczanem glinu i potasu.

— Dziwny to metal, ten glin, który tak przeróżne przyjmuje postacie — zauważyła Helenka.

— O! różnorodność nie jest bynajmniej udziałem samego tylko glinu, jak się o tem w następnych pogadankach przekonamy — zakończył pan Witold.

A. M.

LEGENDA SZKOCKA.

(Dokończenie).

Rozpoczęła się uczta wspaniała, bo rządna pani zamku miała zawsze obfite w składach i spiżarniach zapasy dla ubogich i podróżnych, co zresztą przy jeziorze pełnem ryb i lasach pełnych zwierzyny nie było trudnem, a i piwnica doskonale z dawien dawna przez samego pana była zaopatrzona. Huczno tedy i wesoło odbywała się uczta, tem weselej, że na dzień jutrzejszy obiecywano sobie drugą weselszą jeszcze. Ale nie tak się stać miało, bo za ledwo jutrzeńka zajaśniała raniebie i wszyscy goście spali jeszcze, gdy Helena wybiegłszy jak codzień o tej porze dla nakarmienia łabędzi, spostrzegła, że ich niema na jeziorze i obie ręce gwałtownie przycisnęła do piersi, uczuwszy ból dziwny. Wychowana w tajemniczym dotyczącym ptaków zabobonie, przelęknęła się okropnie ich zniknięcia. Pomimo wczorajszego zatrudnienia ich, zaniosła im jednak sama żywność jak zawsze, a teraz znikły. Oczywiście odleciały, ale dla czegoż teraz właśnie, kiedy do zimy było jeszcze daleko i wesele gościło w zamku? Oby tylko i ono nie uleciało z łabędziami!... Myśląc o weselu, Helena więcej przytem myślała o obecności ojca i brata, niż o zamężciu swoim, bo ojca i brata serdecznie kochała i pragnęła widzieć oddawna, a narzeczonego nie znała wcale, choć istotnie dumną z niego była. Nagły odlot łabędzi przeraził ją. Bacznie przejrzawszy oczyma całe jezioro, zalała się łzami i z koszykiem w rękę wracała do zamku, pewna teraz jakiejś złej nowiny, cała służba otoczyła ją również, przerażona odlotem łabędzi. Jakoż nie mylono się: goniec przywoził wiadomość która była wezwaniem dla Kirckpatrick'a i jego gości do natychmiastowego stawienia się pod dopiero co i tylko chwilowo opuszczony sztandar Karola II. Karol potrzebował gwałtownie dzielnej swej szlachty: to było dostatecznem ażeby wszystkie inne zamiary i względy ustąpiły na bok.

W godzinę po przybyciu gońca, zamek Closeburnski stał znowu samotny, zamknięty i ponury ze swoją młodocianą panią, otoczoną jedynie wiernych starych sług gromadką: tentent rumaków odjeżdżających rycerzy cichł w lasach; wesele uleciało z łabędzią parą.

Helena zalawszy się łzami w pierwszej chwili, gdy łabędzi zabrakło, potem wobec oczu ludzkich na nią zwróconych, prędko powściągnęła łzy, i blada jak ściana, ale dumna i baczna jako pani domu, zarządzała wedle potrzeby usługą, przy nagłym odjeździe rycerzy. Nie napróżno otaczające kobiety powtarzały jej nieraz słowa jej babki:

— Pani domu, która mając cośkolwiek do czynienia, płacze zamiast działać, nie zdolną jest stać na czele domu.

Dopiero gdy tentent ucichł i ponura, zwykła cisza nastąpiła w zamku, Helena zamknęła się w swej komnacie i gorzko

plakała, ale gdy o zwykłej godzinie wyszła na wieczorne modlitwy wspólnie odbywane, była znowu spokojną i poważną i taką już została.

Głuche milczenie zaległo lasy, góry i jeziora; wojna tak skupiła w odległą okolicę całą ludność zdolną nosić oręż, że nie było komu nawet wieści roznosić po dalszych kraju okolicach. Stary koniuszy który zawsze miał wiadomości z placu boju, teraz nie miał ich wcale. Tak przeszła długa i piękna jesień i wlokła się bez końca zima. Brak wszelkich wieści przedłużając się, stawał się strasznym w końcu. Bo cóż nareszcie mogło się stać, coby przez tak długi czas tak dalece zaprzętało rycerzy, iż przerwało stosunek ich z krajem rodzinnym?... Chyba jedno tylko, to, że wszyscy zginęli wraz z nieszczęśliwym królem swoim. Smutne to przypuszczenie musiało z czasem opanować wszystkie umysły i ciężki smutek zawisł nad Closeburnskim zamczyskiem. Mieszkańcy unikali się aby wspólnego smutku nie zwiększać. Mężczyźni chodzili smutni po lasach, kobiety udawały zajęcie domowymi zatrudnieniami, Helena uczyniwszy zadość codziennym obowiązkom przepędzała całe godziny nieruchoma, samotna, nad brzegiem stawu stojąc jak posąg w tem samym miejscu, gdzie dzieciną, igrała z łabędziami na murawie. Patrzyła w przestrzeń kędyś ponad ciemne góry i lasy zasłaniające widnokrąg. Zima mijała, długa jak wiek, a Helena patrzyła... Na raz, pewnego dnia, zamigotało coś na niebie daleko. Coś podobnego do srebrnej bruzdy przemknęło i para srebrzystych łabędzi zleciała do stóp zadumanej kasztelanki na łodem jeszcze pokryte jezioro, Helena krzyknęła radośnie i wyciągnęła ręce do ptaków, pod których ciężarem lód pękł, cieni już zresztą i potrząskany już w różnych kierunkach.

— Jesteście! o, ukochane moje, to już pewno i szczęście wróci kiedy wy jesteście! — zawołała cała we łzach radości.

— I my jesteśmy! — odpowiedział jej głos znany: odwróciła się i skoczyła na szyję ojcu który jej otwierał ramiona, brat, narzeczony i gromadka zmniejszona towarzyszy stali koło niej zdrowi i cali przybywszy niepostrzeżenie do zamku z przeciwnej strony.

W kilka dni odbyło się wesele, a po latach gdy brat Heleny ożenił się także, domowa wierna służba opowiadała jego dzieciom jedną rodzinną legendę więcej, o ciotce Helenie i łabędziach, które jej szczęście na skrzydłach przyniosły. Tak wzrastały dzieci w rodzie Kirckpatrick'ów w serdecznej przyjaźni z łabędziami, wykołysane cudownymi o nich powiściami przywiązanych nianiek, i mimowoli naśladowały tkliwe uczucie rodziców, którzy jak za lat dziecinnych tak i później kochali piękne te ptaki.

III.

Aż stało się jakoś z czasem, że jeden z Kirckpatrick'ów tak się zajął wojnami, że ożenić się nie mógł, aż dopiero w późnym wieku. Miał jednego syna i umarł, .. gdy łabędzie odleciały niezmiernie wcześniej... dodaje podanie ludowe. Wdowa młoda jeszcze i piękna, ale niezmierną ciężą przejęta dla pamięci męża, cała oddała się wychowaniu małego Rogera zapomniawszy zresztą o świecie. Bardzo to było pięknie i dobrze i cała liczna rodzina męzowska niezmiernie za to szanowała i kochała bratową, tylko to było złe, że wdowa z wielkiego ukochania synka zaczęła go pieścić nad wszelką miarę, a wiadomo, że pieszczoty zbyt liczne są nieszczęściem dla dzieci, większem jeszcze niż zbyt surowość. Roger rozpieszczony stał się samowolnym i swawolnym okropnie. Ażeby rozbudzić w nim tę szlachetną dumę, przez którą człowiek stara się być lepszym od innych, powiedziano mu, że jest głową rodu Kirckpatrick'ów, co wedle obyczaju i praw niejskowych było prawdą, ale malutki swawolnik tak to na opak zrozumiał, że odtąd zamiast, jako głowa rodu, poczuwać się do grzeczności i opieki względem maleńkich krewnych przybywających czasem w odwiedzinach do jego matki, on dokuczał im w rozmaity sposób, utrzymując, że wszystko mu wolno ponieważ jest głową rodu! Z czasem, stawał się co raz nieznosińszym; nareszcie spostrzegła to zaślepiona mat-

ka i zrozumiała, że jej zbyt liczne pieszczoty mogą się stać nieszczęściem dla dziecka, bo nikt go kochać nie będzie. Chciała więc zmienić sposób wychowania i surowiej chłopca prowadzić, ale było to już zapóźno. Dziecko, nie mądre jak zwykle dziecko, uroiło sobie, że to nie ono jest złem i nieznośnym, tylko że matka, z dobrej bo na wszystko pozwalającej, stała się mniej dobrą. Skutkiem tego fałszywego pojmowania rzeczy, trzynastoletni już wówczas chłopak stał się skrytym i nieufnym, bo brojąc różne coraz gorsze swawole krył się z niemi nawet przed matką, tak jak w przód przed nauczycielem, widząc że i u niej nie znajdzie teraz pobłażania. W takich okolicznościach zdarzyło się, że pojechał z matką do stolicy Szkocji, do starego pięknego Edynburga, gdzie, między innymi uciechami i zabawami znalazł się raz w teatrze, na przedstawieniu sztuki, w której ktoś powiedział: skończ jak łabędź, śpiewając! Zdziwiło to niezmiernie Rogera, który wyszedłszy z teatru obsypał po dziecinnemu matkę i starego nauczyciela mnóstwem pytań.

— Czy to prawda, że łabędź śpiewa umierając? Czy słyszeliście ich śpiewających? Dlaczego niania ani szafarka, ani nikt mi o tem śpiewaniu nie mówił, choć tyle mi opowiadano o naszych łabędziach? — Tak pytał i pytał chłopiec a matka odpowiadała, że ani ona ani nikt w Closeburnie nie słyszał śpiewających łabędzi, bo też dzięki niebu żaden z nich żyć nie przestał, w porze, w której gościł na zamkowym jeziorze. A co się z niemi dzieje, gdy odlatują, nikt tego nie wie. Stary nauczyciel zaś odpowiadał, że bardzo dużo uczonych ludzi nad tem się zastanawiało, ale nikt nic pewnego nie wyrzekł, że wogóle nie można dawać wiary zmyśleniom poetycznym, bo poeta w umiesieniu sam nie uważa czasem co napisze, że wiele bajek też zjadać nie podobna, ponieważ łabędzie bardzo długo, dłużej od człowieka żyją.

— O, ależ na to jest sposób bardzo łatwy! — zawołał bez namysłu Roger.

— Ciekawym jaki? — zapytał nauczyciel zmęczony długimi objaśnieniami.

— Ależ bardzo łatwy i prosty, zwłaszcza dla nas — odparł żywo — oto gdy się karmi nasze łabędzie, uderzyć którego tak mocno, żeby umierać musiał a wtedy usłyszelibyśmy śpiew jego!

— Wielki Boże zmiłuj się nad nami! — krzyknęła matka przerażona okrutnymi słowami chłopca i zalała się łzami rzewnymi na myśl, że to ona go tak źle wychowała i przeto może zgotowała nieszczęście, nie tylko jemu, ale i podwładnym jego gdy dorośnie. Następnie matka i nauczyciel starali się wytłómaczyć chłopcu, że chociaż dla wyżywienia się wolno jest człowiekowi zabijać zwierzęta, ptactwa, i ryby, to przecież usprawiedliwia go konieczność jedynie, a zaś dla nędznej ciekawości zabijać przy karmieniu z ręki, nikczemnym podstępem ptaki nieszkodliwe, ufne bez granic, i nareszcie otoczone długowieczną rodzinną tradycją, byłoby czynem haniebnym i bezrozumnym.

Roger zmilczał, ale odtąd jak zwykle opanowała samowolnego chłopca chęć zrobienia tego, co mu ganiono. Chęć ta wzrastała w nim przez całą zimę, ale już o tem przed nikim nie wspominał.

Pewnego dnia, późną już ale chmurną wiosną, gdy łabędzie jakoś dziwnie opóźniały swe przybycie i przeto różne niedobre przeczucia krążyły pomiędzy ludem, Roger sam jeden, bo nauczyciel niedomagał trochę, przechadzał się po murawie u stóp zamku, zabawiając się strzelaniem do celu z łuku, w czem znaczną posiadał wprawę. Wtem podnosząc oczy w górę za lecącą strzałą, ujrzał w odległości na tle chmur szarych, rysującą się wyraźnie parę lecących srebrnopiórych łabędzi. Szalona żądza zakazanej swawoli i ciekawości ogarnęła nagle serce zepsutego chłopca. Bez zastanowienia, w ugnieniu oka wziął na cel, strzała świsnęła i wspólnie ptak spadł jak kamień na stóp dziedzińca Closeburn'u, tak nagle, że nie miał czasu ani krzyknąć nawet. Za to drugi łabędź wydał krzyk przeraźliwy i znikł uciekając w powietrzu. Roger błądliwy i zimnym potem oblany, stał jak skamielina nad zwłokami ptaka, który wedle rodzinnej odwiecznej

tradycy, szczęście jego domowi przynosił. Gdy oprzytomniał po długiej chwili, poczuł wyraźnie, że popełnił coś strasznego, lecz musiała to być już bardzo zepsuta dusza, kiedy zamiast wybuchnąć żalem serdecznym, zapragnęła tylko ukryć swą winę. O trzy kroki stamtąd była świeżo poruszona ziemia dla przesadzania krzewów. Roger rozgarnął ją rękami i ukrył w niej zabitego ptaka, przysypał, udeptał, ukrył starannie ślady krwawe i uciekł potem w pobliskie lasy, cały zabłocony i zakrwawiony z włosami najeżonemi z przerażenia. Gdy nie wracał długo ludzie zamkowi rozbiegli się szukając go, i znaleźli w pół nieprzytomnego; opowiedział, że walczył z napastującym go dzikim zwierzęciem, pochwycono go, umyło, przebrano, matka oblała go łzami i łając za samowolne narażanie się na złą przygodę, ścisnęła serdecznie dopóki nie przyrzekł, że więcej tego nie uczyni. Na tem się skończyło. Ni-

tak ukazanie się samotnego łabędzia z zakrwawioną piersią, była dlań nieszczęścia przepowiednią.

Mówiono też, że młody pan zamku, zrywając się ze snu przerażony widnem zakrwawionego łabędzia, wywołanem przez własne jego sumienie, wydawał dzikie okrzyki. Matka jego umarła wkrótce po śmierci syna z wielkiego strapienia, a zamek, tytuł i ogromne włości przeszły na poboczną linią Kirckpatrick'ów.

Odtąd wszakże przed każdym nieszczęściem, dotyczącym panów zamku, fantazyja ludowa widywała łabędzia z zakrwawioną piersią, ukazującego się na przejrzystych wodach jeziora. Było tego po wiele razy, aż gdy ujrano go raz jeszcze, gdy starożytna rodzina doprowadzona do upadku, musiała sprzedać rodzinne włości oraz zamek Closeburn i niejako istnieć przestała.



KARETA KRÓLA DAHOMEYU.

komu nie przyszło na myśl co ukrywała świeżo poruszona ziemia u stóp zamku, na której też wkrótce porosła murawa. Ale Roger stawał się codzień bardziej ponury i mizerny, a nad zamkiem zdawało się, że zawisła jakby jakaś niewidzialna a groźna czarna chmura, bo łabędzie po raz pierwszy odkąd Closeburn był Closeburnem, nie ukazały się owego lata na wodach zamkowego jeziora: mieszkańcy zamku i lud okoliczny, drżeli przeczuwając nieszczęście. Następnego lata łabędzie nie ukazały się także, aż nagle pod jesień rozniosła się wieść w zamku i okolicy, że jeden tylko łabędź pojawił się na jeziorze, z krwawą plamą w kształcie serca na srebrnopiórej piersi, pojawił się i znikł. Przestraszeni ogarnęli całą okolicę; spodziewano się niebawem nieszczęścia i nieszczęście to stało się: młody Roger, głowa starożytnego rodu zmarł nagle, bez żadnej widocznej do tego przyczyny, a odtąd powstało mniemanie pomiędzy ludem, że jak para przylatujących łabędzi przynosiła szczęście rodowi Kirckpatrick'ów,

IV.

Pozostał jednakże z rodziny owej szczątek jakiś po ką-dzieli w prostej linii, i otóż zdarzyło się, że ta prawnuczka i dziedziczka Kirckpatrick'ów, małżonka znakomitego Hiszpana, miała córkę, która zbiegiem okoliczności, została małżonką Napoleona III-go, cesarza Francuzów. Cesarzowa Eugenia miała następnie syna jedynaka, który zdawał się zrodzony do władania jednym najpotężniejszych państw w Europie, gdy losy wojny inaczej zrzędziły. Młody książę, sierota, bez ojca i ojczyzny, popłynął walczyć w świat daleki, a jego matka, utraciwszy małżonka i świetną koronę, pojechała między lasy i jeziora górnej Szkocji, zwiedzić gruzy Closeburn'u i przyglądać się błękitnym falam jeziora, po których przed wiekami pływająca para białych łabędzi, przynosiła szczęście jej rodzinie. A podczas gdy dumiała tam nad zmiennością losów, dżicy Zulusi zamordowali jej syna w Afryce; i otóż



W NIEBEZPIECZEŃSTWIE.

podobno dzisiaj już zaczyna się snuć dalszy ciąg starej legendy w górach i lasach starej górnej Szkocji. Powiadają mianowicie, że cesarzowej, praprawnuczce Kirckpatricków, patrzącej na grzyby Closeburn'u i fale otaczającego je jeziora, ukazał się na niem biały łabędź z zakrwawioną piersią, właśnie w chwili, gdy Zulusi mordowali jej syna w odległej krainie...

A teraz chcecie wiedzieć co dało osnowę do tej ostatniej legendy? Oto cesarzowa francuska zwiedzała rzeczywiście starożytną siedzibę swych naddziadów, i wyobraźnia poetyczna okolicznych mieszkańców skorzystała z tego, aby utworzyć powieść o pojawieniu się wtedy łabędzia z zakrwawioną pier-

sią, zakończającą tak dobrze cały cykl starych opowiadań o tajemniczym stosunku srebrnopiórych ptaków do dawnych panów zamku.

Kareta króla Dahomeyu.

Monarcha Dahomejczyków kazał zrobić dla siebie w Hamburgu pojazd, którego zaprzęg stanowi szesnastu niewolników. Miejsce kozła zastępują dwa rzeźbione rekiny, otwierające paszcze dla pochwylenia jaj strusich, umieszczono-

nych przed niemi; trzecie jajo ogromnych rozmiarów, liśćmi palmowemi otoczone, znajduje się na wierzchu karety, pomalowanej na kolor niebieski i karminowy ze srebrnymi pasami. Lustrzane szyby w oknach mają niebieskie jedwabne zasłony, wewnątrz powozu także wybite jasno-niebieską jedwabną materią i ozdobione rzeźbami z kości słoniowej, od których pięknie musi odbijać czarność Jego Królewskiej Mości. Na drzwiczkach herb królewski: rekin w złotym polu, strusie jajo, naokoło kły słonia i zęby gadzin, a wszystko to otoczone liśćmi palmowemi.

BUMERANG.

Ze wspomnień australskiego kolonisty

opowiedział **Bohdan.**

(Dalszy ciąg).

— Jedziemy pojutrze, chłopaki — rzekł tenże — musicie gotować się do drogi.

— Hurra! niech żyje podróż! — huknął na cały głos Józio.

— Niepotrzebnie krzyczysz; — przerwał mu ojciec — zdaje mi się, że nie pojedziesz z nami; sam chyba rozumiesz, iż pozostały czas trzeba obrócić na powetowanie straconych dni. Musisz po naszym powrocie dowieść, iż lepiej znasz gramatykę aniżeli teraz. Pan Feliks oddali się jutro, ale jego pomoc nie jest ci niezbędna. Do żniw brak jeszcze trzech tygodni; termin to zupełnie dostateczny.

Wysłuchawszy tych słów, Józio zbladł. Zapomniał bowiem o przestrodze ojca i nie brał jej przytem na serwo.

— Ojczulku najukochańszy — wybuchnął płaczem, rzucając mu się do rąk; — weź mnie, przyrzekam ci, iż nauczę się doskonale na przyszły rok, czego tylko zechcesz.

Ojciec potrząsnął głową.

— Wybacz, ale wątpię o tem; wszak sam nie pozwoliłeś mi wierzyć twym przyrzeczeniom; przypomnij sobie, ile to razy obiecywałeś, że weźmiesz się do nauki i powetujesz straty.

Na to nie było odpowiedzi; Józio też zamilkł; i stanawszy w kąciku izby, począł szlochać rozpaczliwie, aż się nam obu serce krajało.

— Proś ojca za nim — szepnął Michał, trącając mnie łokciem.

— Dobrze, ale i ty także — odparłem.

Zawarłszy takie przymierze, pochwyciliśmy ojca za rękę i nuż w prośby za bratem; Michał zarażony przykładem Józefa, rozbeczał się także na dobre.

— Nie rozumiem was — rzekł ojciec — pojmujecie chyba dobrze, iż nie mogę cofnąć powziętego postanowienia.

— Ojcze, zmniejsz mu karę; — rzekłem; — ta jest zbyt okrutna. — Nie przypuszczałem nawet, że słowa te dotkną ojca.

— Jaktó? — zawołał z gniewem; — więc sądzisz, że ja wymierzam karę temu leniuchowi? I to jeszcze w dodatku okrutną? Głupi jesteś. Nie miałeś chyba nigdy sposobności przekonać się o mojem okrucieństwie; nie masz bo też pojęcia o tem, jak postępują ze swymi synami ojcowie, zasługujący na miano okrutnych. Wiedz o tem, że nie chcę wcale karać, lecz pozwałam poprostu, żeby brat twój znosił następstwa naturalne swej opieszałości i lekceważenia obowiązków. Dość tego: Józef nie pojedzie, bo nie ma na to czasu, musi uczyć się geografii.

W słowach mojego ojca brzmiała taka stanowczość, iż nie śmieliśmy nalegać dłużej.

Józio musiał pogodzić się ze smutną koniecznością i patrzeć z żalem na nasze przygotowania do podróży. Nie zajęły one wiele czasu. Konie mieliśmy gotowe, broń w porządku; chodziło tylko o zaopatrzenie się w zapasy żywności na cały tydzień, gdyż w drodze nic kupić nie było można.

Dnia 3 listopada, równo ze świtem, siedliśmy na nasze wierzchowce. Odjazd jednak nie był tak wesoły, jak spodziewaliśmy się, marząc niedawno o nim. Zapłakany Józio, stojący w oknie, zepsuł nam do reszty humor. Gdy ojciec ruszył wolno za wrota, przesłaliśmy zostającemu braciszkowi kilka serdecznych pocałunków i patrzyliśmy na niego, dopóki nie schował się za krzewy, rosnące po obu stronach drzwi naszego domu.

— Biedny Józio! — westchnąłem półgłosem.

— Mów co chcesz — rzekł cichutko Michał, nachylając się ku mnie ze swego siodła — ale ja powtarzam za tobą — że tatko bardzo surowo ukarał Józefa. On tam zanudzi się bez nas w samotności.

— Prawdę mówiąc, sam sobie winien, choć zawsze mi go żal — odparłem.

Przez jakiś czas jechaliśmy nic nie mówiąc; ojciec zauważył nasze usposobienie, i nie przerwał ogólnego milczenia.

Wkrótce przekroczyliśmy granice kolonii i znaleźliśmy się wpośród gęstego lasu eukaliptusów, ciągnących się, jak mówił ojciec o trzydzieści mil na wschód. Stryj nasz mieszkał na skraju tej australskiej puszczy; musieliśmy więc trzymać się go. Na zachód rozpościerały się niezmiernie łąki, zarosłe wysoką, twardą i ostrą trawą, w której jak nam było wiadomo z doświadczenia, chętnie chowały się kangury, największa zwierzyna australiska.

Urządzałyśmy na nią częste polowania, głównie dla skór i przyjemności, gdyż mięso tych zwierząt ma smak, do którego trudno się przyzwyczaić.

Bawiło nas niezmiernie, gdy stado kangurów spłoszone z żeru, uciekało olbrzymimi susami; zwierzęta wspierając się na swych grubych ogonach i odpychając tylnymi nogami, posuwały się naprzód tak szybko, że daremnie byłoby ścigać je konno.

My z ojcem wszakże, zawsze używaliśmy tego sposobu; należy bowiem wiedzieć, że kangury męczą się daleko prędzej aniżeli konie; z początku zwykle wyprzedzają jeźdźcę; jeżeli jednak nie dawać im przez parę godzin wypoczynku, pozwalają wkońcu zbliżyć się do siebie na pewny strzał.

Brała nas chęćka urządzić sobie takie wyścigi, lecz ojciec odmówił stanowczo; zapasy żywności były więcej aniżeli dostateczne; a przytem, leżała przed nami długa droga, należało tedy oszczędzać sił naszych koni; wiedziałem nadto, że kangury stanowią najważniejszą zwierzynę dla krajowców i że ci, w braku tejże, polują z konieczności na owce osadników i wyrządzają szkody. Zabijać dla przyjemności, to okrucieństwo.

Pozwoliliśmy więc ująć gromadce skoczków. Rozrywki tymczasem nie brakło; cochwila bowiem spotykaliśmy coś nowego i godnego uwagi; to jakąś nieznaną sobie roślinę, to ślady rozmaitych zwierząt, to oryginalną grupę drzew.

Ojciec, obznajmiony doskonale z miejscową florą, ku czemu głównie ponogły mu książki, objaśniał nam ważniejsze kwestye.

Piękna pogoda uprzyjemniała podróż. Gdyby tylko nie te eukaliptusy, które zawsze trzymają liście prostopadle i przeto nie dają cienia w południe, kiedy najgoręcej, wszystko byłoby dobrze.

Nasze koniki szły rażno, skubiąc od czasu do czasu listki z sąsiednich krzaków, w czym nie stawialiśmy im przeszkód.

Okolica nabierała coraz oryginalniejszego charakteru; o dziesięć mil angielskich od naszej kolonii, równina zmieniała się niedostrzegalnie w długie pasmo falistych, łagodnie wznoszących się pagórków, z wierzchołków których rozciągał się rozległy widok.

W Australii podróżuje się tak samo bezpiecznie, jak i w Europie; niema tu wcale drapieżnych zwierząt, tak jak w innych częściach świata; ojciec opowiadał, iż jedyny szkodnik, zebra-opossum, gatunek wilka workowatego, zamieszkującego te strony, został całkiem już wytępiony, a i on zresztą

nigdy nie napadał na ludzi. Baliśmy się tylko czarnego węża, bardzo jadowitego, który jednak, na szczęście, dość rzadko się napotyka.

Jechaliśmy więc zupełnie swobodnie, zaglądając po drodze do każdej szczeliny, pomiędzy wystającymi gdzieś skałami wapiennymi, i zatrzymując się, gdziekolwiek było co ciekawego do obejrzenia.

O drugiej po południu ze szczytu wysokiego pagórka, na który z trudnością wdary się nasze koniki, ujrzeliśmy wielką płachtę wody, zamkniętą dokoła w ramie zielonych lasów. Było to jezioro, brzegami którego musieliśmy jechać.

— Proszę ojca — rzekł Michałek, wspinając się na siodło — ja widzę tam nad wodą dym; pewno to jacy podróżni gotują sobie obiad. Czy ich odwiedzimy?

W istocie, braciszek mój nie mylił się, z poza grupy wierzb, rosnących nad samym brzegiem jeziora, wznosiła się w prostej linii ku niebu czarniawa wstęga dymu, nieomylny dowód obecności człowieka.

Ojciec zbadał uważnie wskazane miejsce i potrząsnął głową.

— Może to i ludzie; najprawdopodobniej jacyś nowi koloniści, lub jacy kopacze złota. Możemy podjechać cokolwiek, choć niezbyt blisko; niewiadomo bowiem z kim będziemy mieli do czynienia.

Rzekłszy to, uderzył ostrogą swego konia i zjechał wolnym truchtem z pagórka; my podążaliśmy z tyłu. Jechaliśmy przez pół godziny gęstymi krzakami lnu australijskiego, którego szerokie liście doskonale nas ukrywały. Zarośla te graniczyły nad brzegiem jeziora z laskiem płaczących wierzb, z poza którego wydobywał się dym.

Ojciec, pozostawiwszy nas w cieniu rozłożystego drzewa żelaznego, sam wymknął się chyłkiem naprzód; po upływie dziesięciu minut usłyszeliśmy, jak nas wołał głośno.

— Niema nikogo! — rzekł, gdyśmy się znaleźli obok niego.

(d. n.)

Tajemniczy Zamek.

(Dalszy ciąg).

Nie była-ż to ta sama, którą miała na sobie Stilla wtedy, gdy Franciszek Telek widział ją po raz ostatni na scenie?

Tak! to Stilla tam stoi! Nieruchoma, ku młodemu człowiekowi zdaje się wyciągać ramiona, wzrok w niego utkwiała przenikliwy...

— To ona! to Stilla! — woła młodzieniec i rzucając się na przód, byłby runął na samo dno fosy, gdyby go nie był schwytał w pół Rocko.

Wtem znikło niespodzianie zjawisko; przez minutę ledwie widzieć się dało.

Mniejsza o to! Sekundy dość było Franciszkowi na poznanie Stilli. Z ust jego wyrwały się słowa:

— To ona! Ona! A więc żyje!

XII.

Być-że to mogło? Ta Stilla, której Franciszek nie spodziewał się już widzieć, ukazała mu się na platformie baszty? Nie było to złudzenie, razem z nim widział ją Rocko! Tak! to ona! wielka artystka! W tem samym ubraniu, które miała na sobie podczas ostatniego przedstawienia w San-Carlo!

Strasliwa prawda widoczną stała się teraz hrabiemu.

A więc ta, którą zamierzał uczynić swą żoną, od lat pięciu w górach siedmiogrodzkich ukryta! A więc ta, którą Franciszek widział, umierającą na scenie, pozostała przy

życiu? A więc baron Rudolf potrafił niewytłomaczonym jakimś sposobem przewieść tu Stillę, do tego zamku górskiego, a nazajutrz cały Neapol próżną tylko trumnę odprowadzał na Santo Campo Nuowo!

Wszystko to wydawało się rzeczą niepojętą, zdrowemu rozsądkowi przeciwną, rzeczą zupełnie nie do uwierzenia! Zakrawało to na cud, zupełnym było nieprawdopodobieństwem i Franciszek powtarzał sobie, że padł ofiarą złudzenia. A jednak nie! Stilla żyła, skoro ją na tarasie widział... Żyła nie ulegało to już wątpliwości.

Młody hrabia starał się odzyskać zimną krew i zapanaować nad rozstrzeleniem myśli, nad którymi jedna wszakże górowała; oswobodzić Stillę, od lat pięciu w samotnym zamczysku więzioną!

— Rocko — rzekł Franciszek — słuchaj mnie... zrozumiej mnie przedewszystkiem...

— Panie mój! drogi mój panie!

— Słuchaj... dzisiaj... dziś jeszcze dostać się do niej muszę...

— Dziś... nie... Jutro może?

— Powiadam ci, że dzisiaj... Stilla tam jest... widział ją mnie...

— Ano... to chodźmy! Nie! pójdę sam.

— Sam?

— Tak... sam jeden.

— Ale jakże się pan dostanie do środka zamku, skoro Niko Deck dostać się tam nie potrafił?

— Wejść; zobaczysz.

— Furka zamknięta.

— Dla mnie otwartą będzie... Będę szukał... znajdę jaką szczelinę... przecisnę się...

— Więc nie chce pan, żebym panu towarzyszył? Panie mój złoty! Nie chce panicz?

— Nie! Tu się rozłączymy po to właśnie, żebyś mi mógł usłużyć.

— Tu mam czekać na pana?

— Nie, nie tu, mój Rocko.

— Gdzież więc mam się udać?

— Do Werstu... a raczej nie... nie do Werstu — odpowiedział Franciszek. — Ci ludzie nie potrzebują o tem wiedzieć. Zejdź do wsi Wulkan i tam noc przepędź... Jeżeli mnie jutro rano nie będzie, opuść Wulkan z rana... to jest... nie, nie zrana... zaczekaj jeszcze kilka godzin... Potem dopiero idź do Karlsburga... udaj się do naczelnika policyi, któremu wszystko opowiesz... Powrócisz tu z agentami... Idź, idź Rocko! — raz jeszcze dodał.

— Chce pan koniecznie, żebym odszedł?

— Koniecznie. Idź... każę ci!

Tak wyraźnemu rozkazowi, Rocko posłuszny być musiał. Zresztą Franciszek oddalił się już, zniknął w cieniu z oczu wiernego towarzysza.

Rocko stał jeszcze dość długą chwilę na tem samym miejscu, nie mogąc się zdecydować odejść. Przyszło mu wtedy na myśl, że wszystkie usiłowania Franciszka okażą się nadaremne, że nie zdoła nawet dostać się poza obręb muru obwodowego, że zmuszony będzie powrócić z niczem do wsi Wulkan... może jutro... a może jeszcze dziś w nocy. Obadwaj pójdą więc razem do Karlsburga, a czego ani hrabia ani leśniczy dokonać nie zdołali pojedynczo, to się da dokonać z pomocą agentów władzy... Można przecie upokorzyć tego butnego barona... można przetrząść cały jego zamek... w razie potrzeby nie zostawić kamienia na kamieniu, choćby nawet wszyscy szatani stanęli ku jego obronie.

I tak myśląc, zstępować zaczął Rocko pochyłością z płaskowzgórza ku wąwozowi wiodącej, a tymczasem hrabia Franciszek wciąż idąc brzegiem wału, zawrócił już koło baszty narożnej na lewo.

Tysiące myśli krzyżowało mu się w głowie. Nie ulegało wątpliwości, że baron na Gorcu ukrywa się w zamku. Stilla żyje, ale jakżeż dostać się do niej potrafi? Jakim sposobem wprowadzi ją z zamku? Nie wiedział jeszcze... tak być je-

dnak musi... tak będzie... Przeszkody, których Niko Deck przezwyciężyć nie mógł, Franciszek Telek je zwalczył!..

Rozumiał to dobrze Franciszek, że wejść do zamku można tylko od strony południa, gdzie w murze otwierała się furtka, do której prowadził most zwodzony, te też nie próbując nawet wdrapywania się na wysoki mur obwodowy, szedł dalej krawędzią płaskowzgorza.

W dzień, mogło to być rzeczą wcale łatwą; teraz jednak, gdy księżyc jeszcze nie zeszedł by rozświecić nieprzeniknione ciemności, któremi mgła nocna zalegać zwykła w górach — groziło wielkiem niebezpieczeństwem. Jeden krok fałszywy pociągnąć mógł ze sobą upadek w głąb fosy, jedno nieuważne potrącenie głazu wywołać mogło osunięcie się nietylko jednego kamienia, ale całej ich masy, lawiną walącej się na śmiałka.

Szedł jednak Franciszek przed siebie, pilnując się linii wału, próbując to ręką, to nogą, czy czasem z niej nie zbacza. Podrzymywany nadludzką jakąś siłą, czuł przytem że kieruje nim nadwyzczajny a omylić go niemogący instynkt.

Okrążywszy basztę znalazł się naprzeciwko muru na południe wychodzącego, na tej właśnie stronie, do której przez most zwodzony dostać się można było do zamku, wtedy naturalnie, gdy most podniesionym nie był.

Z tej jednak strony, coraz więcej spotykał przeszkód. Wśród olbrzymich złomów granitu sterczących na powierzchni płaskowzgorza, z trudnością mógł się oryentować, czy nie zbacza ze szczytu wału, lub nie oddala się od zamczyska. A tu nic, nic zupełnie coby służyć mogło za drogowskaz, żadnego nawet światełka błyskającego wśród czarnej nocy, w której mrokach ginęła nawet baszta środkowa!

Szedł przecież ciągle, to wspinając się na głaz jakiś ogromny, który przejście całe zawałał, to pełzając wśród skał, kaleczył ręce o ciernie i ostów kolce, a nad głową przelatowały mu puszczyki, grobowym nawołujące się krzykiem.

Ach! dlaczego nie odzywa się teraz dzwon starej kaplicy, który dał się słyszeć owej pamiętnej nocy Nikonowi i doktorowi? Dlaczego to światło, które ich blaskiem swoim oślepiło, nie jaśnieje teraz nad murami? Szedłby ku temu światłu, ku tym dźwiękom zbawczym, kierowałby się niemi w drodze, jak kieruje się marynarz światłem latarni morskiej.

Nic! Nic, tylko gęsta ciemność nocy nie pozwalającej mu rozpoznawać drogi na kilka kroków przed sobą!

Trwało to godzinę blisko. Po pochyłości gruntu, coraz wyraźniej zniżającego się z lewej strony, czuł Franciszek, że zmylił drogę. Może minął już furtkę i przeszedł miejsce, gdzie stał oparty o mur most zwodzony?

Stanął, nogą w ziemię uderzył, ręce załamał w rozpacz...

W którą stronę miał kroki swe zwrócić? Jakaż wściekłość go ogarniała na myśl, że będzie musiał czekać tu aż do białego dnia!

Zobaczą go wtedy mieszkańcy zamczyska... nie będzie mógł podejść ich zniemacka... Rudolf na Gorcu na ostrożności mieć się będzie!

Tymczasem w nocy właśnie, tej jeszcze nocy dostać się trzeba do wnętrza zamku, poza mur obwodowy, a tu Franciszek zorientować się wśród ciemności nie umie!

Okrzyk rozpacz z ust mu się wyrwał mimowoli.

(d. c. n.)

SZARADA.

przez E. M.

Pierwsze wykrzyknik, na znak rzeczy mało wartej;
Drugim, wielkie obszary drzewami zarosłe;
Wszystko razem, w Afryce szczyty gór wyniosłe,
Lub zebrane z opisem ziemi, znaczą karty;
Od nazwy bajecznego w Grecyi olbrzyma,
Który, gardząc lżejszemi podobno ciężary,
Trzymał, podjąwszy na silne bary
Świat... nam go wyższa moc w ręku trzyma.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

ułożyła Marszałkowa dla błędnego Ognika.

Z następujących sylab: **La — ru — a — lau — no — bad — pe — vo — ghie — li — ka — bau — ar — ri — berg — a — rouse — la — ka — li — a — ri — a** ułożyć 9 wyrazów z następującem znaczeniem: 1. Góra pod Wiedniem. 2. Nazwa grupy wysp Molluckich. 3. Wieś we Włoszech słynna zwycięstwem Napoleona I. 4. Pierwszy król Maurytański w Sewilli. 5. Miasto w Afryce. 6. Dopływ Renu. 7. Sławny francuski marynarz, z czasów Ludwika XVI-go, który zwiedził półn. wsch. mało znane brzegi Azyi. 8. Ojciec Raheli. 9. Najsławniejszy poeta włoski. Początkowe litery tych wyrazów czytane z góry na dół utworzą przezwisko cesarza rzymskiego; końcowe zaś w tym samym kierunku imię i nazwisko malarza włoskiego ze szkoły bolońskiej, zmarłego w pierwszej połowie XVII wieku.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 36-go.

Szarady: An — ty — lo — py

Rebusu obrazkowego:

1. Zajęc. 2. Album. 3. Kot. 4. Oko. 5. Paw. 6. Afryka. 7. Nożyczki. 8. Ebro.

Zakopane.

Prenumeratorom kwartalnym przypominamy odnowienie prenumeraty, dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.

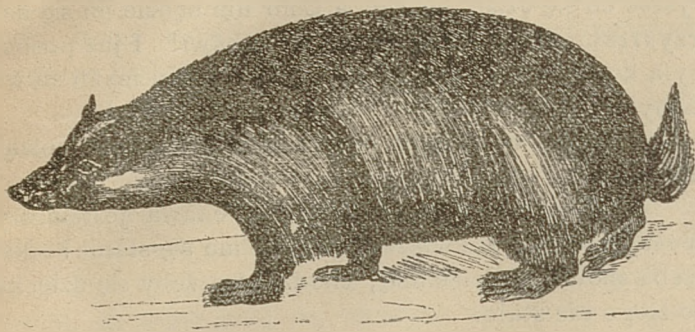
PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biurow Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

TREŚĆ: Pogadanka naukowa p. A. M. — Legenda szkocka (dokończenie). — Karetka króla Dahomeyu (z drzew.) — W niebezpieczeństwie drzeworyt. — Bumerang, ze wspomnień australskiego kolonisty, opowiedział Bohdan. — Tajemniczy zamek. — Łamigłównki i rozwiązania. — Dodatek: Borsuk p. Maryę Weryho (z drzew.) — Józia, wiersz p. Z. M. — Obowiązek p. Mar. — Przygody Iskierki, Perelki i Brylancika. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: W krainie Gwembrow, Andrzeja Laurie, przekład T. P.

WIECZORY RODZINNE.



BORSUK.

W zaciszy gęstego lasu pod rozłożystą jodłą, borsuk dół sobie kopał. Od kilku dni nie spał i nie jadł; był cały przejęty przygotowaniem dla siebie mieszkania. Robota to bowiem nielada.

Trzeba było dół wykopać i to nie łopata, ale własnymi pazurami, porobić w dole komory, przeznaczając jedną na śpiżarkę, gdzie ma być chowany zbytek zapasu, drugą na śmietnik, a trzecią dużą zachować dla siebie na legowisko, czyli na sypialnię. W sypialni tej na wierzchu, urządzić trzeba otwór, ażeby nim czyste powietrze przechodzić mogło; na dole zaś przygotować posłanie z mchu i liści. Niemało to wszystko trudu i pracy kosztowało. Dla czego się borsuk tak bardzo śpieszy z robotą?

Oto dlatego, że już późna jesień nadchodzi, a on jest bez dachu. Drugi to już raz mieszkanie sposobi sobie w tym roku.

Niedaleko stąd miał bardzo wygodne pomieszczenie, ale ktoś zaczął mu się zakradać do jamy i robić szkody. To mu posłanie rozrzuci, to ze śpiżarki wydobywa resztki zapasów, zawsze w czasie nieobecności borsuka. Ile się naszukał, ile namarnował czasu pilnując nieprzyjaciela, ile się wreszcie nagniewał, wszystko napróżno! Czasem dzień cały nie wychodził z mieszkania tylko łeb wysuwając i nikt się nie zjawił, ale niechno tylko na żer na chwilę wyjdzie, już jest w domu szkoda. Sprzykrzyło mu się to nareszcie i zaczął przygotowywać nowe mieszkanie.

— O gdybym przyłapał tego psotnika — myślał sobie borsuk — tobym mu kości wszystkie pogruchotał.

A można mu było wierzyć, bo był z niego nietylko wielki złośnik, ale i sitacz.

Długo mordował się nad urządzeniem nowego mieszkania, ale nie mógł go tak wykończyć, jak dawniejsze. Musiał śpieszyć się na gwałt, bo zima była za pasem.

Po długiej i mozolnej pracy, jama była nareszcie skończoną. Teraz, należało się dobrze posilić, najpierw dla tego, że borsuk był głodny, powtóre, że przez długi czas z pokarmem się nie spotka. Zapadnie niebawem w głęboki sen zimowy. Trzeba przyznać borsukowi, że

nie był wybrednym w jedzeniu; zjadał wszystko, co mu się przytrafiło: owoce, korzenie, ślimaki, ryby, węże, ptaki, myszy, króliki, nawet robakami i owadami nie gardził. O taki zaś pokarm nie trudno.

Razu jednego, gdy czatował na zdobycz, został zniemacka napadnięty przez psy myśliwskie, porwał się śpiesznie i zaczął uciekać. Szczęśliwym trafem po drodze napotyka swą dawną norę, a więc wpada do niej czempredzej. Jakież jednak było jego zdziwienie, kiedy w swem dawnym mieszkaniu zobaczył lisa.

Wściekłość straszna porwała borsuka, chciał lecieć za tym zbrodniarzem lisem, pomścić na nim wszystkie swoje szkody, ale bał się znowu ludzi i psów, co go przed chwilą gonili. Nie pozostał jednak w swem dawnym mieszkaniu; było tu już teraz zanadto brudno i nieporządnie. Późno dopiero nad wieczorem przemknął się borsuk do swej nory; o nieprzyjacielu jednak nie zapomniał, postanowił go srogo ukarać.

Na szczęście lisa nastąpiły wczesne mrozy i borsuk już ze swej nory nie wyszedł.

Skulony w kłębek, schował głowę pomiędzy przednie łapy i zasnął snem twardym, a zemstę nad lisem zostawił do przyszłej wiosny.

Marya Weryho.

JÓZIA.



„Ochroniaj Józiu sukni!” prze-
[strzeżała mama,
Ale Józia napomnień mamy nie
[słuchała.
To atrament wyleje, to masłem
[pomaże,
Myśląc sobie: „Wszak mama no-
[sić mi nie każe
Poplamionej sukienki, lecz inną
[da przecie”.
Omyliła się jednak, mama spojrzy
[gniewnie

I zmarszczywszy brwi srodze, rzeknie do córeczki:
„Dziecię, co nie chce słuchać przestrog swej mateczki,
Musi być ukarane.”

A więc Józia mała

Gdy mama szła na spacer, w domu pozostała.

Z. M.

OBOWIĄZEK.

II.

Minęło parę lat od owej rozmowy Helenki z cicią. Helenka wyrosła na słuszną, czteremastoletnią panienkę, i trzeba przyznać, że nietylko wzrostu jej przybyło, lecz

i w naukach robiła szybkie postępy, a co więcej charakter jej uległ znacznej zmianie. Mała Helcia była dobrem i serdecznym dzieckiem, ale rozpieszczonem i nie umiejącem się w niczem przewyciężyć; jako panienska posiadała już siłę panowania nad sobą; nie oblewała już łzami przykrych lekcyj, i umiała zmusić się do łagodności, gdy się chciała gniewać, do dobrego humoru, gdy brała ją ochota zrobić zadąsaną minkę. Stała się staranną i porządną, a mama często jej pozwalała wyręczać się w gospodarstwie.

Razu jednego, rodzice i ciocia wybrali się z wizytą w sąsiedztwo, i mieli powrócić dopiero późnym wieczorem. Już powóz stał przed gankiem, gdy wtem przyszła pokojówka z oznajmieniem, że piastunka małego Lolo, braciszka Helenki, nagle zachorowała. Okazało się, że nie było to nic groźnego, ale biedna dziewczyna cierpiała i nie mogła zająć się dzieckiem. Matka Helenki zatem postanowiła nie jechać.

— Bardzo mi to niemiło — rzekł ojciec — oddawna obiecaliśmy nasz przyjazd; zrobimy przykrość naszym sąsiadom.

— Mamo! czyż mama nie może mnie powierzyć opieki nad Lolem! — zawołała Hela.

— Tobie! Obawiam się, byś zająwszy się czem innym o dziecku nie zapomniała.

— Daję mamie słowo, że nic a nic mu się nie stanie, zobaczy mama — prosiła Helenka, której chodziło już nietylko o wyręczenie matki, ale i o pokazanie, że ona nie jest dzieckiem, któremu zaufać nie można.

Po pewnem wahaniu, mama przystała na to.

— Pamiętaj jednak Helciu, że to wcale nie zabawny obowiązek, ani na chwilę nie odstępować braciszka.

Było to jeszcze przed południem. Do obiadu zostawało parę godzin. Helenka pobiegła natychmiast do dzieciennego pokoju, chwyciła na ręce chłopczyka i zaczęła z nim biegać i tańczyć, co zawsze w świetny humor wprawiało pana Karola, lecz po kwadransie zmęczona, padła na krzesło.

— Jeście, jeście, mazuja tańczyć — prosił rozbawiony Lolo.

— Kiedy już nie mogę. Niech odpocznę chwilkę.

Ale Lolo był despotycznym. Nie pozwolił Helci odpoczywać; musiała długo jeszcze z nim się bawić, aż wreszcie sam się zmęczył i zawołał, że go nóżki bolą. Posadziła go więc na fotelu, a sama upadła na kanapę, by spocząć. Ale to się dziecku nie podobało; zachciało mu się zejść z fotelu. Czynił to nieraz, ale czujna nianka uważała, aby nie spadł, Helence to jednak nie przyszło na myśl, i wkrótce rozległ się gwałtowny płacz. Lolo upadł i nabił sobie guza nad samem okiem.

Helenka uspakajała go, przyłożyła zimny kompres, starała się zabawić, ale prócz zmartwienia i strachu myślała jeszcze z przykrością, że drugi raz mama jej nie zaufa.

Wkrótce podano obiad. Lolus nie chciał zjeść swej zwykłej porcji, a potem był jakiś smutny i nadąsany. Helenka musiała mu pokazywać obrazki, śpiewać, na kolanach go trzymać, zabawki mu ustawiać. Niedoświadczona piastunka, nie umiała sobie dać rady z dzieckiem, i męczyła się bardzo. Trwało to już blisko cztery godziny,

Helenka czuła się strasznie zmęczoną. Nie mogła wziąć do ręki książki ani robótki żadnej, dziecko wciąż przeszkadzało.

— Ach, jakże ja czas tracę! — myślała z żalem — a mam tyle do roboty! Gdyby też można pójść na chwilę do mego pokoju? Drzwi zostaną otwarte, będę słyszeć co się dzieć będzie, a Lolo nie będzie mi się na przykrzał. Tak spokojnie się teraz bawi! I już poskoczyła ku drzwiom, gdy wtem stanęły jej w myśli słowa mamy:

— Masz obowiązek ani na chwilę nie odstępować braciszka.

— Więc to mój obowiązek? Ciekawa jestem czy na seryo to mój obowiązek? A cóż mu się stanie? Nie trzeba znów być dziecinną; chodzi o to, żeby się dziecku nic złego nie stało.

— Mama powiedziała, że masz obowiązek nie odstępowania go.

Tak wahała się dość długo, wreszcie rzekła do siebie:

— Ej... cóż robić, lepiej zawsze dokładnie wypełnić obowiązek jak za mało... zostanę.

I powróciła do braciszka.

Krzyknęła przerażona, i serce ze strachu zamarło jej w piersiach. Lolo, który bawił się na podłodze, chciał powstać, a żeby sobie w tem dopomódz, chwycił za róg serwety, stół okrywającej, i ciągnął ją ze wszystkimi siłami. Wraz z serwetą zsuwała się szybko duża i ciężka, obszyta suknem cegła do przypinania roboty, którą właśnie przyniosła sobie Helenka. Jeszcze mała chwila, a ciężki przedmiot spadłby na główkę dziecka...

Helenka wczas jeszcze zdążyła porwać chłopczyka, cegła z hałasem spadła na posadzkę.

— Boże, dzięki Ci, żeś od nieszczęścia nas zachował — szeptała drżąca, długo jeszcze nie mogąc się uspokoić. Serduszko biło jej jak młotem, i tuliła do siebie wylękną dziecinę.

O jakież szczęście, że mnie nauczono przedewszystkiem obowiązek spełniać! — myślała. Od tej pory, przez całe życie moje, obowiązek który na mnie włożą, będzie mi świętym; ani przyjemności, ani ulubiona praca nie odwrócą mnie od niego!

Gdy mama wróciła, Helenka opowiedziała jej wszystko. Z przestraszeniem wysłuchiwała mama opowiadania o niebezpieczeństwie, na jakie narażony był jej synek, w końcu rzekła:

— Bądź co bądź widzę teraz, że zaufać ci mogę, skoro po chwili wahania przełożyłaś obowiązek nad to, co ci mogło być przyjemnem.

Mar.

Przygody Iskierki, Perełki i Brylancika.

I.

PROŚBA DO OJCA.

— Doprawdy, jedno ładniejsze od drugiego!... Któż tu z nich wybrać? — mówił Jakóbek do swojej siostrzyczki Zosi. Oboje klęczeli pochyleni nad koszykiem,

w którym na posłaniu ze słomy leżało troje ślepych jeszcze kociąt.

Koszyk ten stał w stajni, niedaleko od okna, przez które wpadały słabe promienie słońca, rzucając blaski na główki obojga dzieci. Jakóbek rzucił kapelusz na ziemię, a Zosia zsunęła swój na tył głowy, aż spadł jej na plecy. Chociaż oprócz nich nikogo więcej w stajni nie było, dzieci mówiły przyciszonym głosem i naradzały się długo nad tą ważną sprawą.

— Które z nich wybrać? — po chwili spytała znów Zosia.

— Patrz-no Zosieczko — mówił Jakóbek nie odpowiadając wprost na jej pytanie — przypatrz się jaki ten czarny koteczek jest śliczny! Nie ma ani jednego białego włoska oprócz tej małej plamki. Słyszałem od kucharki, że takie koty są uważane za bardzo piękne. Zresztą czarny kot przynosi szczęście, a że wszyscy ludzie chcieliby być szczęśliwymi, więc z pewnością znajdziemy kogoś, kto go weźmie. Mateczka pozwoliła nam zatrzymać tylko jedno kocię, musimy więc zgodzić się na to — stanowczym głosem oświadczył Jakóbek, poważnie marszcząc czoło.

— Masz słuszność, Jakóbk — zawołała Zosia — ale czyż nie żal ci tego kotka? Cały pokryty centkami jak tygrys, a podobny jak dwie kropłe wody do swojej matki. Patrz jak on błagalnie na mnie spogląda! Nie, nie pozwolę go zabić! — i ostróżnie wyjąwszy z koszyka moregowate kociątko, głaskała je pieszczotliwie.

— A niania mówiła, że takie centkowane koty są najrzadsze i najpiękniejsze — z westchnieniem dorzucił Jakóbek. — Nawet mama powiedziała, że szkoda by je komu oddać.

— Co tu począć! — smutnie zawołała Zosia, nie mogąc już powstrzymać się od płaczu. — Musimy zdecydować się dziś koniecznie, bo jutro rano chłopak stajenny ma zabrać dwoje z nich. Co tu począć! Co tu począć!

— Ha! trudna rada! Izy nie nie pomogą — oświadczył Jakóbek trochę szorstko, bo i jemu także na płacz się zbierało. — Trzeba się dobrze zastanowić.

Zosia nie sprzeciwiała się temu, gdyż przywykła godzić się zawsze na to, co starszy braciszek postanowił.

Dzieci ucałowały kolejno wszystkie kocięta na pożegnanie i pobiegły do ogrodu, gdzie na końcu jednej alei stała altanka, którą ojciec dla nich wystawić kazał, a w której znajdowało się mnóstwo skarbów.

Przybiegłszy tutaj, oboje usiedli i długo nic nie mówili do siebie. Musieli widocznie zastanawiać się nad trudnym wyborem, bo twarzyczki ich przybrały wyraz bardzo poważny. Zanim któremu z nich przyjdzie szczęśliwa myśl do głowy, ja tymczasem zapoznam was bliżej z nimi.

Jakóbek jest to ośmioletni chłopczyk. Ma on wesołą, okrągłą twarzyczkę, ciemne kręjące się włoski i bystre siwe oczki, przed którymi nic się nigdy nie ukryje. Teraz oto zacisnął usteczka, zmarszczył czoło... widocznie zastanawia się głęboko. Zosia siedziała w milczeniu, wpatrując się z niepokojem w twarzyczkę Jakóbka. Wątpła i chorowita dziewczynka przywykła we wszystkim słuchać brata, który silniejszy i odważniejszy

od niej, opiekował się nią serdecznie, choć nieraz bywał trochę szorstkim. Jakóbek przypominał sobie z dumą ten dzień, kiedy po raz pierwszy marna powierzyła Zosię jego opiece... ale było to już dawno, bardzo dawno temu... bo Zosia była tylko o rok młodsza od niego. Już od trzech lat bawili się zawsze razem czy to w ogrodzie, czy na dziedzińcu, gdzie nic złego spotkać ich nie mogło, chociaż Jakóbkowi przychodziły często na myśl różne figle. Prawdę mówiąc obowiązek czuwania nad Zosią powstrzymywał go nieraz od złego; bo gdy brała go chętka „narazić się na niebezpieczeństwo”, zastanawiał się, czy niebezpieczeństwo to nie zaszkodzi siostrzyczce.

— Wiem już, co zrobimy! — zawołał nagle Jakóbek, zrywając się z miejsca, aż Zosia krzyknęła z przestraszu. — Nie traćmy jeszcze nadziei. Jak tatuś wróci do domu, powiemy mu o naszym kłopotcie i poprosimy, aby nam pozwolił tym razem zatrzymać wszystkie kocięta. Jestem pewien, że i mama się zgodzi, jeżeli tylko tatuś pozwoli. Musimy go poprosić bardzo ładnie; będziemy wychowywali kotki przez dwa miesiące i przez ten czas wynajdziemy dla nich jakieś miejsce. Marcynowa mówiła, że szuka miejsca dla swojej córki i że chce koniecznie znaleźć *dobre miejsce*. Nam także tego potrzeba. Zapytamy się jej, jak ona szuka miejsca dla Marysi i postaramy się tak samo znaleźć dobre miejsce dla naszych kociąt.

— Czy myślisz, Jakóbk, że tatuś pozwoli? — niedowierzająco spytała Zosia — tatuś nie bardzo lubi koty, chociaż nigdy się nie gniewa na naszą pocziwą Milutkę.

— Dlaczegożby nie miał pozwolić? Nie chcemy przecie zatrzymać ich na zawsze. Powtarzam ci, że znajdziemy dla nich jakieś miejsce. Muszę się o to zapytać Marcynowej, jak przyjdzie do nas w niedzielę.

— Ależ Marcynowa szuka dla Marysi miejsca kucharki albo niańki. Słyszałam jak mówiła, że jej córka jest pracowita i może być bardzo użyteczną.

— A czyż koty nie są także bardzo użyteczne? — tłómaczył Jakóbek. — Wszyscy powinni by trzymać koty, bo tam gdzie ich niema, bywa bardzo dużo myszy, których nikt nie lubi, chociaż ja nie rozumiem dla czego. Czyż nasza Milutka nie jest użyteczną? Jej kocięta potrafią także łapać myszy, jak tylko podrosną.

— W takim razie obmyślimy dla nich imiona — powiedziała Zosia uszczęśliwiona i zupełnie już przekonana dowodami brata. — Nie zastanowiliśmy się dotąd nad tem, a to rzecz bardzo ważna.

Ale Jakóbek przecząco wstrząsnął głową.

— Nie, poczekajmy lepiej aż się dowiemy co tatuś powie. Nie warto szukać imion dla kotków, które nam zabiorą. Czy nie pamiętasz, jak raz obmyśliliśmy już imię dla ślicznego kotka białego z czarnem i jak nam było smutno, kiedy go zabrano?

— Ach! tak, to jeszcze smutniej! — odpowiedziała Zosia zmartwiona tem wspomnieniem. — Nie myślimy już o tem. Chodź Jakóbk, pohańtaj mnie trochę — dodała biorąc brata za rękę. — Niedługo będzie podwieczorek, a potem mama obiecała nam przeczytać jaką powiastkę. Może to będzie jaka ciekawa bajeczka i czas nie będzie nam się wydawał tak długim.

— Żeby tylko tatuś wrócił jak najprędzej! — dodał Jakóbek.

Dzieci pobiegły do huśtawki, aby pobawić się i zapomnieć o swoich kłopotach.

— Trzymaj się mocno, Zosiu! — upominał Jakóbek lękając się wyrządzić krzywdę siostrzyczce, której przed kilkoma tygodniami nabił guza na czole.

(d. c. n.)

SZARADA.

Maciek dla Józia.

Pierwsze litera, drugie litera
Wszystko zaś razem w sobie zawiera
Nazwę rzeki, która płynie
W północno-wschodniej krainie.

ZADANIE KONIKOWE.

Co	czy	dziej
do	lej	czy
to	bar	u
na	ku	rych

ROZWIĄZANIA DO N-ru 36-go.

Szarady. U — bóstwo.

Łamigłówki kryształowej:

S
t Y r
w a R t a
k o l O m a n
S Y R O K O M L A
h e r O d o t
m a M u t
a L e
A

Skrzynka do listów.

I nam także, Pocięzko Rodziców, niemało dokuczyły upały, w dużym mieście stokroć nieznośniejsze. Do Wisły dalej niż do Huczwy a mury kamienne zięją żarem. Czy kochane Świąteczko wycpoczęło po trudach szkolnego roku?

Od Brunetki, Kwiatka polnego, oraz „małych siostrzyczek” otrzymaliśmy roboty, o których później więcej powiemy.

Otrzymaliśmy także i pierwsze wypracowanie **Miry**, i będziemy „pobłażliwi”. Można być korespondentką wtedy nawet, gdy się już należy do grona starszerek, i prosimy, aby kochana Mira zechciała jak najczęściej do nas pisywać.

Cyklista z nad P. nie znajdzie takiej mineralogii jakiej żąda. Najlepsze jakie mamy są: Pokornego i Słomnickiego, znane zapewne Cykliście, jako uczniowi szkół lwowskich.

Lobelia nie pisała tak dawno, że niepotrzebnie się obawia znudzić nas. Liścik jej sprawił nam niespodziankę przyjemną, myśleliśmy bowiem, że delikatny kwiatek usechł podczas upałów. Robótka nam jest dowodem, że istnieje i pracuje.

P. Godl. Zastosujemy się do życzenia Sz. pani zdaje nam się jednak, że nie będziemy potrzebowali pisać prywatnego listu.

Niech się **Kuropatewka z nad Warty**, nie martwi, umiemy zawsze ocenić dobrą intencję. Posyłam wyprawiliśmy już pod wskazanym adresem.

Muszelka, bardzo trafną zrobiła uwagę, że „zabawa może się prędko znudzić, ale nauka nigdy”. Bardzo nam też miło widzieć, że tak dobrze pojęła M. istotny cel ogłoszonego przez nas konkursu robót.

Odebraliśmy posyłam **Czarnotki**; na zapytanie zaś odpowiadamy, że w tej cenie niema nic takiego, mapka zaś z konstelacjami oraz systemem planetarnym kosztuje rs. 1. k. 50. „Niebo” (wydanie z ilustracjami) dziełko K. Flammarion’a w przekładzie Dr. Stefanowskiej kosztuje rs. 1.

Miła **Fregato**, wyrozumieli będziemy na niedokładności, które się znajdują w robocie; starać się jednak trzeba uniknąć takich *niedokładności* językowych, jak „dorównać swoją koleżankę”. Dorównywa się *swojej koleżance*.

Zieloną gałązkę prosimy, aby zechciała nam dać adres, lub sama zgłosiła się do Redakcyi.

„Mamusia” doskonale poradziła **Sikorce** — taki to już zwyczaj matek!

Nowa siostrzyczko moja, **Mandarynko**, odrazu ujęłaś mię za serce serdecznością swoją a także i opisem cierpień, które przeszłaś, biedaczko. Co to za straszna męka być musi, przykutą być do łóżka taką niemocą! Bogu dzięki, że zdrowszą już jesteś. Szczerze ci dziękuję za odezwanie się do mnie, oraz za dowód pamięci o moich upodobaniach. Kampanula i Pszeniczka przypomniały sobie także o mnie. Nie, siostrzyczki drogie, korespondencya o której mówisz istnieć nie może dla braku miejsca; ale wam Jaskółka i ja, chłopczykom Józio zawsze z odpowiedzią póspieszę.

Kochana **Pod.** roboty wasze złożone już w Redakcyi, gdzie wiadomość o fartuszkach uszytym przez 7 letnią **Mike**, wywołała wielkie wrażenie. Nie „zniechęciła” mię wcale „gadatliwość” twoja, siostrzyczko, wiesz dobrze jak lubię tę wymianę myśli, która nas zaznajamia i zaprzyjaźnia ściślej niż zwykły towarzyski stosunek. Nie ostatni rok należysz do konkursów, bo trzeba skończyć lat 15, ażeby mieć prawo do zaszczytnego tytułu starszki. Niezadługo ogłoszonym będzie konkurs piśmienny, w którym zapewne weźmiesz udział tak, jak teraz w konkursie robót. Proszę, niech ci to nie przeszkodzi napisać do mnie. Dowody waszej pamięci i życzliwości są mi zawsze bardzo drogie i szczerze za nie wdzięczną jestem *Kwiatkowi pustyni*, *Werbłowi domowemu* i *Ogrodnikowi z Jeziorki*. Serduszką wasze, to najpocziwsza rzecz, jaką znam pod słońcem. I tobie **Kingo**, dziękuję za uprzejme słowa. Liściki wasze dochodziły mnie akuratnie; wiesz, gdzie wybornie czas spędzałam, leży nie daleko Warszawy. Szarady i zagadki o ile dobrze są ułożone, zawsze przyjmuje Redakcyja. I tobie i **Ciszy Wieczornej**, posyłam serdeczny uścisk; czemu ta ostatnia pisuje do mnie tak rzadko?

Zawsze was wszystkie kochająca.

Gołąbka.